Świat powieściowy.

Nr. 131 Tygodnik belletrystyczny. Rok III.

Złamany a nieugięty.

Powieść w trzech częściach.

(Ciąg dalszy)

W jednej z chwil poobiednich, w których zwykle hrabina odwidzała męża, weszła z uśmiechem na ustach do jego pokoju. Młoda, piękna pani, w długiej, daleko za nią wlokącej się ciemnej sukni, w jakiejś od niechcenia rzuconej czarnej koronce na złotych włosach, weszła do pokoju męża, który otulony w bogaty perski szlafrok, w fezie ponsowym ze złotym kutasem na głowie, siedział z fajką na długim cybuchu, którego olbrzymi bursztyn trzymał w ustach o wstawionych zębach, z nogami ubranemi w tureckie pantofle, pod które podstawiono mu aksamitny, zielony tak jak wszystkie meble stołeczek i słuchał niby to głosu młodego sekretarza, który odczytywał właśnie przyniesione pisma.

Gdy we drzwiach stanęła hrabina i ukazując piękną główkę melodyjnym głosikiem spytała:

— Czy wolno? — młody sekretarz, przystojny i wykształcony człowiek, powstał z uszanowaniem głębokiem i skłoniwszy się, położył rozłożony dziennik na biurku, przy którem czytał dopiero.

Stary hrabia chciał się podnieść z zwykłą galanterją prawdziwego salonowca, ale jak codziennie żona przybliżyła się do niego i obie rączki położyła mu na ramionach, jakby tem poruszeniu jego przeszkodzić chciała, a uśmiechnąwszy się, przyłożyła swe purpurowe usteczka do pomarszczonego czoła starca i rzekła:

— Nie fatyguj-że się, proszę cię hrabio! Jakże dziś twe zdrowie i siły? Jak noc przeszła i jaki apetyt dzisiaj?

Mówiła to głosem obojętnym, jako zwykłą codzienną formułkę, podsuwając śnieżną rączką nieposłuszne włosy, wymykające się z pod przejrzystej osłony, i nie czekając na odpowiedź męża, zwróciła się do młodego sekretarza z zapytaniem:

— Cóż tam w dziennikach nowego panie Gustawie?

— Jest właśnie podziękowanie rodziców jakiemuś lekarzowi, niedawno z zagranicy przybyłemu, za uratowanie jedynej córki od niechybnej śmierci — odrzekł młody człowiek. — Ma to być znakomitość w swym zawodzie!

— Trzeba go sprowadzić do hrabiego — odezwała się Paula, siadając wygodnie na sofce.

— Napisz pan dziś jeszcze do niego — rzekł hrabia — niech pierwszym pociągiem przyjedzie, a rządcy trzeba powiedzieć, by wysłał konie do stacji. Może on będzie mądrzejszy od innych!

— Tylko nie zapomnij pan wspomnieć o sowitem wynagrodzeniu za trudy — dorzuciła hrabina — to nigdy nie zaszkodzi! A jakżeż ci po ostatnich maściach i lekarstwach, czy czujesz ulgę? — zapytała męża.

— Małą, prawie żadnej.... Cierpienie nie dokucza mi wcale, ale władza nie powraca — odpowiedział. — Niecierpliwi mię to i przykro mi na myśl, że stan taki nie prędko się skończy, a ty Paulo męczysz się i nudzisz tutaj. Wierz mi, że...

— Tylko niech ta troska ustąpi, proszę — przerwała hrabina. — Wiesz aż nadto dobrze, że mi zupełnie obojętne miejsce mego pobytu. Nigdzie się nie nudzę i nigdzie nie bawię. O mnie więc bądź spokojny i myśl tylko o swojem zdrowiu. Niechże pan napisze, panie Gustawie, do tego doktora.

— Natychmiast pani hrabino.

— Jakże się nazywa? — spytała po chwili bezmyślnie Paula, ot, aby coś powiedzieć.

— Dymitr Dymitrow — odrzekł odczytując w dzienniku wydrukowane nazwisko.

— Jakiś moskal! — półgłosem, skrzywiwszy się, powiedziała Paula i sięgnęła po drugie czasopismo, na którem chwilkę zatrzymały się jej oczy.

Milczenie zaległo bogaty salon, przerywane tylko monotonnem tykotaniem wahadła pysznego zegara i chrupaniem jakichś przysmaków przez starca, które na kilku talerzykach, stały przy nim na marmurowym stoliczku. Po chwili i to ustało, ale natomiast zaczęło ucho nie mile drażnić jakieś sapanie ociężałe.

Hrabina podniosła oczy i zatrzymała spojrzenie na mężu, którego oczy pokryły ołowiane powieki, fajka opadła na dywan, a z za pół otwartych ust toczyła się ślina i wydobywało to głuche sapanie.

Hrabia już spał.

Paula odwróciła głowę ze wstrętem, lecz gdy spotkała się ze wzrokiem młodego sekretarza, zaczerwieniła się mimowolnie na myśl, iż tenże mógł odgadnąć, jakie uczucia grały w jej piersi.

Powstała i z uśmiechem rzekła cicho do niego:

— Mąż mój usnął, wychodzę więc, by jakiem poruszeniem nie przerwać potrzebnego mu spoczynku. Do widzenia! — i stąpając na palcach po miękkim dywanie, znikła za drzwiami, a młody człowiek patrząc za nią, szepnął do siebie:

— Choroba i zdrowie, starość wstrętna i urocza młodość, śmierć i życie, złączone razem! Możeż być szczęśliwą w takim związku, choćby kąpała się w złocie?!

Trzeciego dnia po tej rozmowie, wysłano konie do stacji kolejowej, które przed wieczorem przywiozły oczekiwanego lekarza. Hrabina czekała go w salonie, w czarnej, jedwabnej, powłoczystej sukni, która bardziej jeszcze uwidoczniała jej uroczą piękność, a sznur korali, opasujący jej łabędzią szyję, odbijał czarownie od lic bladych.

Gdy wszedł nowoprzybyły, pani domu postąpiła ku niemu i rzekła uprzejmie:

— Witam w panu wielce sławioną szlachetność i sztukę, a jako żona chorego polecam zdrowie jego troskliwej opiece pana, panie Dymitrze Dymitrow.

Lekarz przy pierwszem spojrzeniu na piękną kobietę zachwiał się i chwycił za poręcz fotelu, który stał obok, jakby szukając punktu oparcia.

Trwało to jednak jedno mgnienie oka.

Oprzytomniał natychmiast i odrzekł po francusku:

— Pani hrabina raczy darować, lecz ja rozumiem bardzo mało, a nie mówię nic zupełnie po polsku. Mówię tylko po łacinie, francusku i rodowitym moim językiem rossyjskim.

Paula drgnęła na dźwięk jego głosu i przestraszona wlepiła w niego spojrzenie badawcze. Prędko jednak wzrok swój spuściła na różnobarwne arabeski dywanu i uśmiechnąwszy się smutno, odrzekła również po francusku:

— Mówić więc będziemy tym tylko językiem, ani bowiem po łacinie, ani po rossyjsku nie umiem ni słowa. A teraz proszę do pacjenta.

Lekarz starannie, dokładnie i systematycznie zbadał stan chorego, a podczas tej czynności uspakajał hrabinę zapewnieniami, że podobny stan jej męża, przy ciągłych staraniach, długie lata trwać może i nie zagraża życiu bynajmniej, chyba by się przyplątała jaka inna choroba. Tereźniejszy stan jego przypisywał zbyt burzliwie spędzonej zapewne młodości, której darów używać musiał bez miary. Dziś, gdy dolegliwości żadnych nie miał, należało tylko życie podtrzymywać wszelkiemi możliwemi sposobami.

Młoda żona słuchała słów tych dziwnie obojętnie. Nie zdawała się niemi ani uradowana ani zasmucona. Patrzyła tylko dziwnie zaciekawionemi oczyma na lekarza, słuchała w jakiemś czarownem zapomnieniu jego głosu i prosząc o powtórzenie wizyty zbawiennej dla chorego, podała mu malutką rączkę przy pożegnaniu. Dymitr Dymitrow nie dotknął jej jednak, skłonił się tylko głęboko i odrzekł, że w każdej chwili, gdy będzie zawezwany, stawi się na rozkazy. I odjechał, z czego i my skorzystamy, by zawrzeć bliższą z nim znajomość.

* * *

Dymitr Dymitrow przed rokiem zaledwie zjawiwszy się w stolicy nadpełtwiańskiej, mógł się poszczycić niezwykłemi względami i wzięciem, jak na świeżo przybyłego lekarza. Prawda i to, że gdzie raz był wezwany, nie chętnie już wzywano innych, a zawdzięczał to i najchlubniejszym świadectwom znakomitości lekarskich, i listom rekomendacyjnym od tychże do najwyższych sfer towarzyskich, i obejściu nadzwyczaj uprzejmemu, może trochę i bardzo sympatycznej postawie, a najwięcej temu, że był cudzoziemcem, nie mówił po polsku, a otaczała go jakaś tajemnica, nad której rozwiązaniem nie mało głów pracowało.

Był to mężczyzna trzydziestokilkoletni, wyso-

kiego wzrostu i nieco pochylony, jakby wraz z życiem nosił na sobie ciężar niewidzialny. Czoło piękne zarysowało się dwoma grubemi bruzdami, co nadawało mu wyraz surowy i chmurny, ciemne włosy przerzadły mocno na wierzchu głowy, a u skroni srebrzyło się już kilkanaście włosów przedwczesnej siwizny. Oczy duże zakryte były zawsze szkłami, a broda gęsta i ciemna, twarz całą opasywała. Usta kształtne lecz blade nie uśmiechały się nigdy, ale głos i słowa z nich wychodzące były miłe, ujmujące, i nie dostrzegłby w nich nikt ani cienia goryczy lub ironji.

Gdy przybył do Lwowa i stanął w jednym z najpierwszych hoteli, zbiegła się zaraz usłużna zgraja płatnych Ciceronów, pytając, czy nie potrzebuje mieszkania na stałe osiedlenie. Odrzekł im, że nazajutrz odpowie dopiero.

W parę godzin wyszedł na miasto i czy to że nie znał miejscowości, skierował swe kroki w najbrzydszą prawie część miasta, czy też miał informacje od kogo, dość że poszedł prosto na Żółkiewskie przedmieście, i pomiędzy daleko ozdobniejszymi dworkami wybrał jeden z mniej okazałych, i zapytał, czy nie byłby do wynajęcia?

Pytanie to jednak pozostało bez odpowiedzi.

Dymitr Dymitrow nie mówił po polsku, a mieszkańcy dworka tym tylko językiem się posługiwali. Mówili wprawdzie po niemiecku, ale pytający kręcił głową i niecierpliwemi znakami dawał do zrozumienia, że nie rozumie. Musiano w pomoc zawezwać z sąsiedztwa młodą panienkę, która zrobiła po długich prośbach nareszcie tę ofiarę i podjęła się być tłumaczem stron obydwóch. A musiała to być w istocie wielka ofiara z jej strony, gdyż co chwila oblewał ją ponsowy rumieniec i w pomięszaniu gubiła w pamięci wyrazy. Przecież nareszcie wytłumaczyła państwu L., że ten pan chciałby nająć ten cały dworek. W zamian znowu powiedziała jemu, że państwo L. są sami lokatorami tylko, a właścicielka dworku mieszka daleko w górach, lecz właśnie przed kilkoma miesiącami dała plenipotencję do sprzedania tego dworku. Dymitr Dymitrow zapytał jeszcze z kim mógłby o kupno traktować, a dowiedziawszy się, do kogo może się w tym interesie udać, podziękował uprzejmie młodej panience za rolę tłumacza, skłonił się wszystkim i odszedł.

Wracając dziwnie był zamyślony, stawał co chwila i oglądał się na dworek. Po chwili wsiadł do nadjeżdżającej dorożki i kazał się zawieźć do wskazanej mu kancelarji adwokackiej.

Tam dopiero dowiedział się, że właścicielka dworku, panna blisko już czterdziestoletnia, przed kilkoma miesiącami wyszedłszy zamąż za nie młodego już także lecz bogatego wdowca, gdzieś u szczytu gór karpackich mającego znaczną majętność, pragnęłaby teraz dworek ten sprzedać, by się nie kłopotać wynajmowaniem i różnemi restauracjami.

Dymitr Dymitrow zakaszlał się w tej chwili, co spowodowało, że odetchnąć musiał z głębi piersi, jakby zrzucając z niej ciężar jakiś, i odrzekł, że chciałby wejść w posiadanie dworku, który mu się nader podobał. O cenę nie długo się targowano, a nim upłynął tydzień, był już jego właścicielem. Dotychczasowi lokatorowie uproszeni i wynagrodzeni wypróżnili zajmowane pokoiki.

Dworek to był ten sam, który niegdyś zamieszkiwała Lola i w którym młody Arnold przepędził pierwsze lata młodości, gdzie śnił tak uroczo i kochał tak idealnie.

Dymitr Dymitrow nie mógł przecież znać tych dziejów, a jednak dziwnie się uśmiechał zainstalowawszy się tamże. Zdawałoby się, że każdy kąt tu coś mu przypomina. Długo stał w tem miejscu, gdzie dawniej stało łóżeczko biednej Miluni, dłużej jeszcze tam, gdzie Arnold żegnając Lolę, pierwszy raz tulił ją w objęciu, a najdłużej w małym pokoiku po drugiej stronie, gdzie Arnold śnił tak czarownie, roił nieraz tak cudowne nadzieje przy ogarku łojowej świeczki, gdzie wierzył całą młodzieńczą wiarą nie zepsutego serca we wszystko co piękne, szczytne i szlachetne...

Dlaczego sławny lekarz tak uporczywym oddawał się dumaniom, dlaczego w samotności o szarej godzinie łzy z pod szkieł po twarzy mu płynęły, nie umiemy odgadnąć; co jednak było jeszcze dziwniejsze, że przez jakieś niewytłumaczone dziwactwo, urządziwszy tamte dwa pokoje z prawdziwym komfortem, pokoik po drugiej stronie umeblował prostem łóżkiem, szaragami o nagich hakach, lakierowanym brązowo stolikiem i dwoma takiemi krzesłami. Tu zwykle, mając czas wolny, zasiadał o wieczornym zmroku i zatapiał się myślą gdzieś w ubiegłe, dawne wspomnienia.

Nie często jednak miewał wolne chwile. Wyciągano go prawie z łóżka do chorych, których

leczył prawdziwie ze zdumiewającem szczęściem. Znany był już powszechnie — od bogatych i możnych poszukiwany, od biednych i nieszczęśliwych błogosławiony.

Od bliższych znajomości i wizyt uchylał się stanowczo, przyjaciół więc nie miał, ale życzliwych wszystkich. Życie zdawał się pojmować li tylko ze strony surowego obowiązku. W żadnych zabawach nie brał nigdy udziału, a pomimo czarownych spojrzeń panien i czarowniejszych jeszcze wabiących uśmiechów młodych mężatek, nie wplątał się nie tylko w żadne miłostki, ale trzymał się tak na uboczu, że najznakomiciej wyćwiczone w plotkach języki, nie mogły go nawet żartem prześladować żadną z powabnych pań, które w skrytości serca srodze były zagniewane na podobny nie do darowania purytanizm.

Gdy Dymitr Dymitrow wyjechawszy od hrabstwa Delijów ujrzał się sam w powozie, stracił jakoś zwykły, niczem nie zamącony spokój zimnej obojętności. Co chwila ocierał czoło z zimnego potu, to znowu krew uderzająca sprawiała mu takie gorąco i duszność, że przymuszony był zrzucić czarną krawatkę, gdyż go coś ściskało w gardle i jak zmora dusiło. Siłą woli jednak uspokoił się wkrótce, a w wagonie dopiero dowiedział się od kogoś, to co my już dawno wiemy, że hrabia Delija odziedziczył te dobra po bogatej krewnej, a stosując się do jej woli, przybrał jej nazwisko, co tak się jakoś przyjęło, że prawie zapomniano, iż był także generałem Lemańskim.

Wróciwszy do swego dworku we Lwowie, rozkazał lokajowi, by pytającym o niego odpowiedział, że przybył chory i czas jakiś nigdzie wyjść nie może. Trwało to jednak zaledwie do południa. Nie podobna było pozbyć się wszystkich, którzy prawie szturmem wchodzili. W miejsce odesłanych z niczem służących, zjawiały się powozy, z których wysiadali mniej lub więcej chorzy płci obojej, do konsultacji z nikim — podług ich zdania — nie zastąpionym lekarzem

Pomimo, że Dymitr Dymitrow przyjmował pacjentów ze zwykłym spokojem, widoczne jednak nosił ślady wewnętrznej jakiejś choroby. Pochylił się jeszcze bardziej, na licach okrytych prawie zupełnie gęstą brodą, nie podobna było dopatrzyć bladości, ale na czole przybyła jeszcze jedna głęboka bruzda, na skroni kilka srebrnych włosów więcej, a blade zwykle usta okryły się ciemnym szkarłatem i spaliły od gorączki.

Nie wiele prawdopodobnie dbał on o swoje zdrowie, bo pomimo tych wszystkich oznak widocznej słabości, odwidzał już swoich pacjentów, woląc iść do nich niż przyjmować u siebie.

Gdy jednak jak zwykle w godzinie zmroku zobaczył się sam w małym pokoiku, ręce kurczyły się i ściskały gwałtownie pałające czoło, coś jak ciche jęki drżały w jego głosie, a czasami słowa wydobywały się z ścieśnionej piersi, jak gdyby echo tłumionego łkania.

— O, Paulo! moja Paulo! — wołał nieraz bezwiednie — pocóż cię zobaczyłem?! Pocóż rozkrwawiłaś na nowo niezabliźnioną serca ranę!... Ty święty, niedorównany Ryszardzie, wzorze życia mojego, ulituj się nademną, wlej w duszę i serce więcej siły nadludzkiej!...

Po tem jednak chwilowem uniesieniu zapanowywał zwykle nad sobą, pogrążał w długiem jakiemś i bolesnem zamyśleniu, wreszcie wstrząsał głową jakby dla przebudzenia się i wracał do codziennych swych obowiązków zupełnie spokojny.

. . . .

(Ciąg dalszy nastąpi)

Spadek po wuju Hieronimie.

(*Ciąg dalszy*).

Tygodnie szybko mijały. Dzień przedstawienia był już wyznaczony i odbywano próby ostatnie. Pewnego ranka, gdy ksiądz Jan kończył właśnie mszę św. przed wielkim ołtarzem, wśród ciszy głuchej i ponurej kościoła, nawa nagle się ożywiła, słychać było kroki czyjeś i kilka głosów zmięszanych, które, mimo iż były przyciszone miejsca świętością, budziły echa uspione w pustym zupełnie kościele. Odwrócił głowę nieznacznie, natychmiast jednak zapanował nad mimowolnem roztargnieniem, i do końca mszy nie spuścił wzroku z pięknego obrazu starej włoskiej szkoły, z którego Pan Jezus, pod krzyżem upadający, tak boleśnie i miłosiernie zarazem, zdawał się patrzyć na swojego sługę. Pomimo jednak, iż całą wolę wysilał, migotała mu przed oczami postać czarowna pani Cavalier, klęczącej pomiędzy swoimi dwoma synkami. Alicja pod jego dachem?! Czy nie jest tylko pod wpływem gorączkowej halucynacji? Skupił myśli rozpierzchłe, aby jako tako mszy dokończyć, i poszedł od ołtarza do zakrystji, oczu nie podnosząc. Wstydził się przed własnem sumieniem wzruszenia gwałtownego. Powoli zdejmował ze siebie ubranie mszalne. W zakrystji, jak zwykle, były boczne

drzwiczki, któremi mógł się dostać wprost do swojego ogródka, a z tamtąd do domu. Jeżeli to istotnie pani Cavalier, nie lepiej-że przywitać się z nią zdala od wzroku badawczego kochanej ciotuni? Napowrót więc krokiem poważnym przeszedł przez kościół, tłumiąc o ile możności wrażenie piorunujące, wywołane temi odwidzinami. Serce biło mu trwogą, ale jednocześnie i roskosz niewysłowiona pierś mu rozpierała.

Tak, to Alicja, nie omylił się! Czekała na niego w cieniu, oparta o jeden ze słupów, podpierających chóru sklepienie. Natychmiast, nie czekając na pytanie, opowiedziała mu żywo i wesoło podróż swoją. Chciała koniecznie przejść z nim partję całą, zanim nadejdzie chwila stanowcza, gdyż nie jest pewną, czy wyzyskała dostatecznie miejsca efektowne, czy wniknęła w myśl autora, czy pochwali zresztą niektóre zmiany, przez nią wprowadzone. Nie mogąc go się w Paryżu doczekać, powzięła zamiar napaść go niespodzianie, tem bardziej, że koniec września tak był pięknym i ciepłym, jakby wśród lata. Przyszła więc „Góra do Mahometa“ — co jej robiło największą przyjemność, przez samą oryginalność pomysłu, a jej dzieciakom zapewniało dzień roskosznie spędzony na świeżem powietrzu, wśród wiejskiej, cudownej przyrody, z mleczkiem doskonałem w perspektywie i owocami, które proboszcz rwać im prosto z drzewa pozwoli.

Ta gawędka swobodna, wybuchami śmiechu przeplatana, w pomroku tajemniczym przedsionka, miała w sobie czar upajający, który niby szampan głowę księdzu zawrócił, zanim umiał sobie zdać sprawę z tego co doświadczał. Spostrzegł naprzeciw kościoła, w domu zajezdnym, kilka par ócz ciekawych, które bądź stojąc na progu, bądź z za firanek wykukując, szpiegowały i śledziły złośliwie każdy ruch proboszcza. Znanem mu było plotkarstwo i zacofanie wiejskich prostaków, zrozumiał, jak szerokie pole do najpotworniejszych komentarzy otworzy im toaleta nadzwyczaj elegancka, ale trochę ekscentryczna Paryżanki: suknia niesłychanie obcisła, odznaczająca jej kształty okrągłe, przecudowne, kapelusik à la Rembrand na bok z kokieterją przechylony, włosy z lekka grzebieniem przytrzymane, a przedewszystkiem jej wzięcie swobodne i poufałe. Poprowadził ją czemprędzej na probostwo, truchlejąc na myśl, co powie sztywna i parafiańska jego ciotunia na ten napad niespodziewany!

Na szczęście panna Franciszka o bożym świecie nie wiedząc, tak była na razie odurzona, iż zanim przytomność odzyskała, nieprzyjaciel zajął już w domu i za domem stanowisko zaczepno-odporne. Alicja zrzuciwszy z ramion lekką zarzutkę a z głowy kapelusz, rozgospodarowała się, jakby była u siebie, spiewała z werwą niezwykłą, sadząc gamami perlistemi, idąc, co do trylów nieskończonych, ze słowikiem w zawody. Żartami i figlami chciała koniecznie księdza zmusić, żeby znowu przyjął na siebie niefortunną rolę Holofernesa. Pocił się biedak ze strachu, wykręcał jak mógł, nawet zaczął chrypkę udawać, kłamiąc pierwszy raz w życiu jak z rejestru! Dwaj chłopcy tymczasem biegali jak opętani po ogródku, grożąc zagładą tak kwiatowym klombikom, jak i grządkom z jarzynami.

Ochłonąwszy z wrażenia panna Franciszka, świętą grozą przejęta, poszła jak zwykle oszańcować się w swoim *Sanctuarjum*, które w takich wypadkach nadzwyczajnych służyło jej za fortecę niedostępną, ale jednocześnie i za więzienie dobrowolnie przyjęte. Tego już było za wiele! Po jakimś tam muzykusie, spiewaczka! Jeszcze tylko Margotty brakuje! Ale kto wie, może wkrótce dla ukoronowania dzieła, i tę awanturnicę do domu sobie ksiądz sprowadzi!

Mogła jęczeć i wyrzekać najswobodniej przez kilka godzin z rzędu. Nic jednak wiecznie nie trwa. I jej gniew ostygał powoli, litania złorzeczeń i wyrzutów wyczerpała się wreszcie, a stara panna nie wiedziała co począć dalej w tej zupełnej samotności, gdzie, o ile się zdawało, wszyscy o niej z kretesem zapomnieli. Dom cały rozbrzmiewał weselem, głos niezrównany spiewaczki mury przenikał, zapełniając każdy kącik dźwiękiem czarownym. Nadaremnie starała się nie słuchać, z szybkością gorączkową druty w rękach obracała, raz po raz jakąś koronkę lub godzinki rozpoczynając. Nic nie pomagało! Druty z rąk drżących wypadały na kolana, traciła co chwila wątek i zapominała o liczbie pacierzy machinalnie odklepanych, a tony cudowne spiewaczki nie tylko mury, ale i głębię jej serca przenikały. Mimo zaciętej obrony, musiała kapitulować i przyznała w duchu, że taką muzykę chyba raz drugi w niebie usłyszy, jeżeli *notabene* dopomógłszy księdzu Janowi w wybudowaniu przybytku Pańskiego, dostanie się po śmierci pomiędzy chóry anielskie...

Od czasu do czasu tylko, niby zgrzyt piekielny wśród tej powodzi melodji uroczych, obijał jej się o uszy hałas i tartas, który dwaj chłopcy wyprawiali. Upojeni powietrzem wiejskiem i swobodą bezwarunkową, ta para złośliwych djabełków, nazrywawszy się do woli kwiatów, i najadłszy do syta owoców z drzew obtrzęsionych, niby nowy *Columbus*, zapragnęli robić w domu samym ciekawe odkrycia. Plądrowali zatem wszystkie zakamarki, od strychu aż do piwnicy, jakby istotnie dom cały był zdobyczą wojenną, zagrabioną przez nich w kraju nieprzyjacielskim, pobitym i ujarzmionym. Posunęli się wreszcie w bezprzykładnej zuchwałości aż do wtargnięcia i przestąpienia progu sypialni dziewiczej panny Franciszki. Zerwała się z krzesła z miną tak groźną, iż chłopcy cofnęli się nazad ku drzwiom w niemem przerażeniu. Nieszczęściem dla niej, popełniła tę wielką nieostrożność, i rzuciła na dzieciaków wzrokiem piorunującym. Wyglądali zachwycająco: z rumieńcem na pulchnej buzi, z oczkami wybałuszonemi na poły ze strachu, na poły z figlarną ciekawością, z usteczkami, z których nie zniknął jeszcze całkiem uśmiech roskoszny, a już krzywiły się i łamały pociesznie, zapowiadając wybuch płaczu rzewnego. Nie widywała dzieci od lat wielu... od owej epoki, kiedy to biednej, schorowanej bratowej, pomagała dzielnie w troskach

około licznej dziatwy, pielęgnując z nią na wyścigi niemowlęta, rok w rok niemal na świat przychodzące, co częstokroć napełniało jej serce poczciwe ułudnem uczuciem, jakby ona sama była matką tych dzieci, które w jej ramionach tak często usypiały, których drobne ciałka i na sen wieczny ubierała, skrapiając jedno po drugiem łzami gorzkiemi. I teraz na to bolesne wspomnienie, źrenice jej niby mgłą zaszły, a na zbladłych ustach pojawił się gość dawno niewidziany... uśmiech szczery, serdeczny. To ją zgubiło! Mali najezdnicy uznali, że i tu sprawę wygrali. W tryumfie zwycięstwa, miarkę przebrawszy, wstępnym bojem rzucili się obaj na szyję świeżo odkrytej przyjaciółce!

Lody pękły od razu. Panna Franciszka zdała się na łaskę małych tyranów. Gdy po kilku godzinach muzyki, ksiądz Jan wyjrzał przez okno, zobaczył ją bawiącą się wespół z uszczęśliwionymi chłopaczkami. Ciężar niesłychany spadł mu z serca. Ani wiek, ani godność kapłańska, nie wyzwoliły go w zupełności z pod przewagi moralnej tej drugiej matki. Przywiązanie jej było wprawdzie trochę gderliwe i dokuczliwe, pełne jednak chęci najlepszych i poświęcenia. Bądź jak bądź, jej zawdzięczał uczciwe ognisko domowe, ona, jeżeli mu życia nie uprzyjemniła, dbała przynajmniej o jego wygodę, i troski codzienne z głowy zdejmowała. Wojna otwarta, którą obecnie z ciotką prowadził, smuciła go i każdą chwilę mu zatruwała. Uczucie błogie spokoju i najwyższego zadowolenia, przejęło duszę jego do głębi, niepodobne zupełnie do wzruszenia gwałtownego, które mu prawie przytomność odebrało tego dnia w Paryżu, kiedy tak niepotrzebnie znalazł się niejako w skórze Holofernesa. Blask słońca wydawał mu się jaśniejszym i weselszym niż kiedykolwiek, wietrzyk ciepły muskał czoło roskosznie, dom cały przeistoczył się i ożywił śmieszkiem srebrzystym, okrzykami radośnemi dzieciaków i głosem anielskim tej kobiety, która mu teraz opowiadała z cicha rzewną historję swoją. Nie była ona już nowością dla księdza Jana, wszak miał te same szczegóły od pana Martin, o ileż jednak była więcej wzruszająca, przez usta Alicji przeszedłszy!...

Gdyby tak panna Franciszka mogła była usłyszeć te słowa ciche, łagodne, malujące duszę kobiety na wskróś uczciwej, oddanej li obowiązkom świętym matki, byłaby od razu uznała całą płonność i niedorzeczność przesądów i uprzedzeń przeciw śpiewaczce. Już i tak zrobiła wielkie ustępstwo, bawiąc się z dziećmi; wszystkiego naraz żądać niepodobna! I bardzo roztropnie postąpił! Gdy wreszcie powinności gościnnej domu gospodyni, zmusiły ją pokazać się i zasiąść obok nieznajomej, zrobiła się sztywniejszą niż kiedykolwiek, i przybrała minę kwaśną, niechętną, ofiary nieszczęśliwej. Ustąpiła dzieciom, nie myślała jednak dać się również przez ich matkę zawojować. Wszystko ją w Alicji raziło i drażniło. Swoboda, elegancja wytworna, wesołe śmiechu wybuchy i łatwość w rozmowie, która parafiance zapleśniałej na zuchwałość niemal zakrawała. Tem więcej ją to irytowało, w miarę jak widziała bratanka zupełnie tą kobietą oczarowanego. Miałże kiedy twarz tak uśmiechniętą, rozpromienioną? Słuchał-że kiedy słów ciotki z takim zachwytem i nabożeństwem? A przecież Bóg świadkiem, że cnota wypróbowana i niewzruszona panny Franciszki warta więcej, niż urok tej aktorzycy; a w jej słowach inny statek, niż w paplaniu roztrzepanej Paryżanki!

Musiał proboszcz poczuwać się do winy, gdyż, skoro odprowadził na kolej panią Cavalier, przewidując burzę w domu, udał się prosto do kościoła i w nim się zamknął.

Wrócił dopiero późnym wieczorem. Od progu zaraz uczuł w saloniku zimno przenikliwe. Przeciąg straszliwy unosił w górę firanki, miotał lampy płomieniem, o mało drzwi i okien na oścież pootwieranych z zawias nie wyrywając. Nawet białe na meblach pokrowce, wydymały się niby fale morza wzburzonego. Panna Franciszka drżała demonstracyjnie i zębami dzwoniła wśród tej jaskini Eola. Czekała, od stóp do głowy uzbrojona, w postawie zaczepno odpornej, aby zażądał od niej tłumaczenia, odgadłszy atoli jej taktykę i chętkę stoczenia walnej potyczki, zachował ze swojej strony milczenie uporczywe, i nader ciotuni niedogodne. Fatalnie zawiedziona, postanowiła pierwsza go zaatakować. Wytoczyła zatem skargę, w wyrazach namiętnych i niemal pogardliwych: „Iż zastała pokój cały przesiąknięty perfumami! Perfumy! Ależ to coś okropnego! Czyż kobiety uczciwe perfum używają? Czyż ona (cnotliwa pana Franciszka), odkiedy żyje, jednego centa na pomady i perfumy użyła?!“ — Krzywiła nosem najkomiczniej w świecie, wietrząc w koło siebie niby wyżeł angielski, gdy z czołem zmarszczonem ptaka wystawia, a z pod ruszających się na nosie okularów, padały błyski piorunujące, jak Partów groty zatrute! Żal jej było okazanej przedtem słabości; chciała pomścić się obecnie i zatrzeć takową w pamięci bratanka.

I znowu zawiódł jej nadzieję. Z brewiarzem w ręku, tą tarczą najpewniejszą, która już tyle razy od napaści go obroniła, wcisnął się ksiądz Jan w kącik, najmniej na pastwę wichrowi oddany, i w księgę zapatrzony, puścił wolny bieg myślom... i marzeniom. Zdało mu się, że nagle dom cały oniemiał, stał się pustką, jak kiedy wszyscy wymrą na jaką gwałtowną epidemję. A tak tu było przed chwilą wesoło, gdy o ciche ściany obijał się gwar dziecięcy, i głos słodki, łagodny, ich matki. Przed oczyma duszy snuły się obrazy z dalekiej przeszłości, nader smutne i ponure. I on kiedyś był otoczony gwarem, ale wtedy widział tylko przed sobą twarz matki zafrasowaną i schorowaną, słyszał wieczne narzekania na liczną rodzinę, której biedna wdowa wyżywić nie była w stanie. To matkę spowodowało, oddać syna dziesięcioletniego do małego seminarjum. Zrazu był rad zmianie, przynajmniej nie czuł głodu, który mu nieraz w domu dokuczał. Dziś atoli, jakże mu zaciężyła ofiara, dla dobra rodziny poniesiona! Gdyby mógł był losy swoje połączyć z taką jak Alicja kobietą, byłby niezawodnie został wielkim kompozytorem, zyskał imię sławne w dziedzinie muzyki. Miłość takiej

czystej i wzniosłej istoty, to nie chuć brudna i zmysłowa, którą poznał z częstych spowiedzi biednej, umierającej Margotty; to źródło orzeźwiające, to prawdziwe natchnienie, spokój błogi, uczucie nadziemskiej roskoszy, jakiej doznał dnia dzisiejszego! Pocóż jednak myśl zajmować tak słodkiemi a niebezpiecznemi marzeniami?! Ta czarodziejka, te lube i śliczne dzieciaki, były przelotnym meteorem, po którym jeszcze puściej, jeszcze smutniej będzie w domu jego, skazanym na wieczne sieroctwo, na głuchą ciszę grobu....

Łza wielka, paląca, stoczyła się zwolna po zbladłej twarzy księdza Jana. Pana Franciszką udawała wprawdzie, że tego nie uważa, serce jej przecież odczuło ból bratanka ukochanego. Najprzód wstała, aby okna i drzwi pozamykać. Musiała uznać zapewne, iż powietrze po Paryżance należycie oczyszczone. Po chwili przemówiła, całkiem już udobróchana, tonem cichym i serdecznym:

— Czyś nie chory Jasiu?... takeś zbladł nagle...

— Nic mi wcale nie brakuje... potrzebuję li spokoju.

Rozeszli się, każdy w swoją stronę, z sakramentalnym frazesem na ustach:

— Dobranoc ciotko Franciszko!

— Dobranoc księże Janie!

V.

Szóstego października wybiła wreszcie godzina, przez wielu niecierpliwie oczekiwana, w której miało się rozpocząć wielkie Oratorjum. W bramie jednej z sal paryskich, świeciło zdaleka na afiszach nazwisko: Holofernes, wydrukowane olbrzymiemi, czerwonemi literami. Mimo, iż od rana czas był szkaradny, i kapuśniaczek na chwilę prószyć nie przestawał, publiczność szybko salę zapełniła. Jedni radzi byli, bodaj poobiedzie jakoś zabić, skoro przez dzień cały nosa na ulicę pokazać nie mogli, innych pociągnęła nowość, o której chodziły wieści rozmaite. Rzecz całą ukartowano i poparto należycie. Głęboka tajemnica, osłaniająca nazwisko autora, nawet w obec artystów współdziałających, podnieciła w wysokim stopniu ciekawość, nie tylko zwykłych zbijobruków paryskich, ale i prawdziwych amatorów muzyki. Wielu uśmiechało się z razu, wzruszając tylko w litości ramionami. Nieznani autorowie mało wzbudzają zaufania. Później atoli, wymknęło się niejedno słówko niedyskretne, bądź chórzystom, bądź członkom orkiestry, bądź nawet kilku specjalnie uprzywilejowanym, którzy łamiąc wszelki zakaz i stawiane przeszkody, potrafili wcisnąć się na próby niepostrzeżenie, a te słówka w sekrecie do ucha szeptane, rozwodziły się nad pięknościami w dziele nieznanem zawatemi, nie tylko budząc zapał w publiczności, ale szerząc *a priori* słowę Holofernesa po dziennikach. Trafem szczęśliwym, reporterzy i kronikarze, byli na wielki post skazani w tym tygodniu. W polityce głucha cisza panowała, w trybunałach było kompletne bezrobocie, ani jednego dramatu senzacyjnego, ani na lekarstwo pieprznego skandaliku! Bawiono się zatem, w braku czego lepszego, tą zagadką. Pisma szczególniej nowinkom brukowym poświęcone, obowiązane zatem z góry do rozwiązywania wszelkich zagadek, wymyślały bajeczki coraz nowe i coraz mniej do prawdy zbliżone. Ci przypisywali dzieło *anonym* jakiejś wielkiej damie, tamci ministrowi, jeszcze inni jednemu z giełdowiczów, jak Krezus bogatemu. Byli i tacy, którzy daliby byli głowę nieledwie, że to dzieło napisał po prostu muzyk młody wprawdzie, ale pełen talentu, który podjął się całością dyrygować. Przypuszczenie ostatnie było zresztą dość prawdopodobne, tylko z jednej strony nie można było sobie wytłumaczyć, skądby taki artysta, biedny i początkujący, wziął tyle pieniędzy? i dlaczegoby taką tajemnicą nazwisko swoje osłaniał? — Pieniądze — utrzymywali złośliwi — może mu dostarczyła, nibyto tytułem pożyczki, jaka bogata *Dulcinea*; chłopak piękny i sprytny! — Nazwisko tai — powtarzali inni — aby tem większą wzbudzić ciekawość. Wiecie dobrze, że dotąd próby rozmaite niefortunnie dla niego wypadły, i wcale nie miał powodzenia.

Adolf Martin stanął na wywyższeniu z *battutą* w dłoni i rzucił okiem po sali, podczas gdy orkiestra w okropnem w *charivari* kończyła stroić instrumenta. Uśmiechnął się tryumfująco. Okiem znawcy w tym kierunku, zmierzył doniosłość głów zgromadzonych i teren należycie ocenił. Holofernes miał stoczyć walkę zaciętą, z tym rodzajem specjalnej paryskiej publiczności, która sąd wydaje nieodwołalny, której kaprysy utrwalają lub niszczą na wieki sławę artysty-kompozytora. Już to samo było niejako zwycięstwem, że się udało zgromadzić tak poważny *aeropag*.

Podniósł w górę battutę, a silne *tremolo*, zaczynające uwerturę, głuszyło powoli hałas sprawiony przez najpóźniej przybywających, i szmer rozmów w sali prowadzonych. Introdukcja nie odznaczała się niczem nadzwyczajnem, prócz *finale* w stylu kościelnym, w którego powagę majestatyczną kompozytor wplótł pomysłem nader oryginalnym, dźwięki wesołe a nawet wyuzdane, hulanki żołdaków w obozie, pijących naprzód już w przewidywaniu poddania się Betulji oblężonej, i głodem przymierającej. To zestawienie było istotnie niespodzianką, i wywołało salwę pierwszą hucznych oklasków. Późniejszych kilka kawałków, zyskało również poklask i uznanie publiczności. Nie można było atoli dotąd osądzić, czy zadowolenie tyczy się dzieła samego, czy tylko tegoż wykonawców. Krytycy trzymali się jeszcze na wodzy z dzieła osądzeniem, chociaż tu i ówdzie można już było podsłuchać głosy przychylne, uznające, iż pomysł jest na wskróś oryginalnym, i ani tekst, ani muzyka nie przypomina dawnych Judyt, które ujrzawszy przelotne światło kinkietów, poszły na półki, służyć za pokarm molom i myszkom zgłodniałym.

Preludjum do części drugiej — taktów pięćdziesiąt — musieli powtórzyć, tak się ogólnie podobało. Chór, który nastąpił, także wywołano grzmiącemi oklaskami. Iskrę w proch ciśnięto! (mówiąc językiem za-

kulisowym.) Znawcy uważali wprawdzie pewne braki i luki, zdradzające niedoświadczenie; część mistyczna miała gdzie niegdzie dziwne z liturgją kościelną powinowactwo, za to we wszystkich miejscach czysto dramatycznych, występował jaskrawo żywy temperament kompozytora, trochę jeszcze nieokiełznany, nie zupełnie świadomy efektów, które można wyciągnąć z umiejętnej instrumentacji, nagradzający jednak te braki sowicie natchnieniem szczerem, prawdziwem, którego studja długoletnie nie nauczą, bo to dar nadziemski, to owe piętno geniuszu, którym Bóg sam znaczy czoła wybranych! Partja Judyty, był to brylant czystej wody, skarb nieoceniony melodji anielskich, do łez niemal rzewnością swoją pobudzających. Alicja Cavalier, spiewała jak wielka artystka; wywoływano ją bez liku! i ona dopiero, śmiało rzec można, powodzenie dziełu całemu zapewniła.

Drugi przystanek, był już nader ruchliwym i hałaśliwym. Tajemnica przyjmowana stoicznie przez publiczność zgromadzoną, póki los dzieła był niepewny, teraz, gdy przyznawano temuż piękności niepospolite, i tryumf kompozytora nie podpadał najlżejszej wątpliwości, stawała się czemś irytującem, męczarnią istną dla ciekawych. Dopytywano się na wsze strony, szkła teatralne starały się przeniknąć najciemniejsze lóż zakątki. Ktoś odkrył na parterze postać czarną, wysoką, która widocznie, do ściany bocznej przytulona, unikała wzroku publiczności. Od ciemno ponsowego aksamitu, którym brzeg loży był wyścielony, odbijały dziwnie uroczo dwie główki dziecięce, ze złotemi loczkami, z oczkiem rozpromienionem, z roskosznym na usteczkach różowych uśmiechem. Istne aniołki z *Madonny* sykstyńskiej Rafaela! Dzieci znano powszechnie. Byli to dwaj synkowie Alicji Cavalier; ale kim była ta postać, tak trwożliwie kryjąca się w cieniu loży? Wiadomość ta z ust do ust podawana, poruszyła kilka rzędów krzeseł parterowych. Ze sto głów podniosło się, wzrok co siły wytężając... Znaleźli przecie autora!... Tak, to on niezawodnie!... Zobaczą go!... Gdy oczy dostatecznie wytrzeszczono, szmer głuchy przebiegł po zgromadzeniu, tu i ówdzie odezwał się śmiech zaledwie powstrzymany, pełen ironji, jaki taki wzruszył litościwie ramionami i wzrok zwrócił w inną stronę. Pomyłka była w samej rzeczy niezrównaną! mogła rozweselić umysły i najpoważniej nastrojone. Ten „ktoś“ w cieniu schowany, to jakiś księżyna poczciwy... może mentor dwóch chłopaczków, a może też spektator po prostu, zwabiony tytułem wziętym ze starego testamentu, a teraz gorszący się niezawodnie, usłyszawszy zamiast poważnej muzyki kościelnej, melodje pełne życia i światowej namiętności...

Część ostatnią słuchano z najwyższą uwagą, w ducha skupieniu. Była może mniej niż poprzednia porywającą, imponowała jednak majestatem chórów Izraelskich, i modlitwą dziękczynną Judyty, która wracała do swoich w tryumfie, po spełnieniu czynu bohaterskiego. Wszyscy zajęli się głównie panią Cavalier, nikt więcej nie zwracał uwagi na ciemną lożę parterową...

A jednak odbyła się w tej loży scena dość ciekawa. Podczas ostatnich taktów wzniosłego „hosanna!“ Judyty, postać w czarnej, opiętej sutannie, wyłoniła się nagle z pomroku, z włosami zjeżonemi, z twarzą bladą jak widmo i kurczem nerwowym drgającą, a ująwszy w dłonie żelazne rączki dwóch chłopaczków, starała się ich gwałtem z loży wyprowadzić. Dzieciaki szamotały się uporczywie z napastnikiem, nie chąc ani jednego taktu utracić. Gdy wreszcie zabrzmiały oklaski frenetyczne i krzyki szalone: — „Autor! Autor! Niech się da poznać! Autora chcemy! Autora!“ — ksiądz jakby od przytomności odchodził, porwał chłopców w ramiona i uciekł z loży... Na korytarzu, wśród nagłej ciszy, która w sali na znak dany przez kapelmistrza zapanowała, doszedł go jeszcze głos pana Martin, zapowiadający z powagą, iż twórca, tak poezji jak i muzyki w jednej osobie, pragnie pozostać nieznanym... Cała publiczność zaprotestowała przeciw temu najenergiczniej, demonstracje hałaśliwe na nic jej się atoli nie przydały... autor zniknął w tłumie, pędząc naprzód, jakby gnany przez piekielne *Eumenidy*...

W sali jeszcze wrzało jak w kotle, gdy już powóz, unoszący księdza Jana z dwoma chłopczykami, toczył się szybko po bulwarów makadamie. Upadł na siedzienie bezsilny, oszołomiony, nieprzytomny... Od czasu do czasu dreszcz nerwowy nim wstrząsał. Powoli, powoli, odzyskiwał równowagę, i mógł wreszcie uporządkować myśli chaotyczne, po mózgu wirujące... Powóz mijał licznych dotąd przechodniów; magazyny i kawiarnie, oświetlone à giorno, zdaleka blaskiem nęciły, Wychylił głowę przez szybę spuszczoną, żądny tego widoku upajającego, chcąc pierś nasycić powietrzem nowożytnego Babilonu, który nigdy jeszcze nie wydał mu się tak ponętnym, tak silnemi więzami duszę jego przykuwającym!...

Spokój błogi, który go przyjął od progu zaraz, w cichem, milutkiem mieszkaniu Alicji, wywarł wpływ zbawienny i na jego nerwy rozdrażnione. Umówili się jeszcze przed koncertem, że dzieci odprowadziwszy, na nią i na pana Martin zaczeka. Chłopaki, od owej na wieś wycieczki, byli z sięgdziem Jasiem za pan brat, i teraz nafiglowawszy się z nim do woli, pousypiali wreszcie obok niego na kanapie, złote swoje główki z całem zaufaniem na jego kolanach złożywszy. Ruch nieustający i turkot miejski dochodził tutaj o wiele łagodniejszy, niby szum głuchy oddalającej się burzy. Była dopiero godzina dziewiąta; dla klas pracujących chwila odpoczynku w ciszy ogniska domowego. Kto tylko rodzinę posiadał, wracał do niej po trudach całodzienynch; okna jasno świeciły, a do każdego z nich zajrzawszy, możnaby było dojrzeć stół herbaciany, mniejszy lub większy, i cień kobiety, kapłanki ogniska, krzątającej się około zastawienia posiłku, dla wszystkich drogich jej sercu. Często gęsto, odbiły się i dwa cienie na tle firanki, igrające z sobą w lubej poufałości, i nie jeden słodki pocałunek zamieniony na

przywitanie, zdradziła ta sama firanka niegodziwa!... Księdzu Janowi stanął w oczach jego dom własny... taki pusty, zimny, monotonny!... Panna Franciszka już go gdzieś czeka, sztywnie wyprostowana na kanapce, przed nią stoi lampa z umbrą zieloną, druty obracając się szybko wydają głuchy łoskot, wieś cała pogrążona w śnie letargicznym... cicho i ciemno wokoło... kiedy tu w stolicy ruch, wre i kipi w najlepsze, tam wszystko już ustało... tak! tak! bo tutaj życie w całej pełni... a tam śmierć moralna!... cisza grobu!... Oh! żyć w tem centrum cywilizacji! pracować, tworzyć i tryumfować!... Być mężem tej kobiety!... ojcować tym lubym chłopaczkom!... Halucynacja niebezpieczna rozmarzała go coraz więcej... poddawał jej się bez oporu, pływając w roskoszy, niby Indjanin *haszyszem* upojony i ukołysany...

Odezwał się dzwonek w przedpokoju. Spioszki zerwali się raźno z kanapy, klaszcząc w dłonie z radością:

— Mama! Mamuńcia najdroższa!

Usłyszał słowa urywane, śmiechy wesołe i odgłos serdecznych pocałunków. Weszła za chwilę do saloniku, uwolniwszy się z płaszcza i z dwóch par rączek, ściskających ją za szyję prawie do uduszenia. Podała mu żywo obie dłonie; pochwycił je i przytrzymał czas jakiś, wpatrując się w nią z zachwytem. Od jej rąk płynął prąd gorący, magnetyczny, uderzając mu falą do głowy i serca. Tym razem patrzył jej śmiało w oczy, w te same oczy cudowne, które tak go były zmięszały, takim strachem dziecinnym przejęły, gdy jako Holofernes wynurzał Judycie miłość swoją namiętną, płomienistą. Nie odwracał wzroku, ani od tych lic tryumfem zarumienionych, ani od tych ramion i szyjki łabędziej, olśniewającej, obramowanych mocno wyciętą baskiną z czarnego aksamitu...

(Dokończenie nastąpi).

Tajemnice wielkiego świata.

(Ciąg dalszy.)

Michał jednak nie umarł. Przykucnąwszy w krzaku, zkąd strzelił do koni, aby je przestraszyć, obrócił swoją torbę tak, aby mógł usiąść. Torba obróconą więc była z pleców na piersi, a gdy obaczył, że powóz stoczył się w wąwóz, puścił się pędem drogą, aby połączyć się z braćmi.

W biegu trafiła go kula Szymona, ale kula ta natrafiła ną potrójną grubość siatki, i podwójną skórę torby, co uderzenie złagodziło i przez co trochę zboczyła.

Zamiast ugodzić w piersi, tak jak wyrachował Szymon, który strzelał doskonale, kula prześliznęła się między skórę i żebra, sprowadziwszy wielki upływ krwi i straszne cierpienie, ale nie dotknęła żadnego organu żywotnego.

Michał upadł sądząc, że umiera. Naprożno próbował się podnieść, a po wielkich wysileniach i strasznych konwulsjach zemdlał.

Gdy przyszedł do siebie, było to wskutek jakiegoś dziwnego uczucia orzeźwiającego. Człowiek jakiś stał nad nim pochylony i kropił mu twarz wodą. Człowieka tego poznał Michał otworzywszy oczy. Był to nowy pustelnik z lasu Frettoye, to jest galernik Fanfreluche.

Fanfreluche miał głowę owiniętą chustką pod szerokim kapeluszem.

Tydzień przedtem Munito myślał, że go zabił. Ale kula cygana prześliznęła się po czaszce kościstej, jak kula Szymona po żebrach Michała.

Po długiem omdleniu starzec wywlókł się nareszcie z groty, poszukał strumyka i ugasił trochę gorączkę, która go paliła. Nazajutrz dowiedział się o śmierci tragicznej Munita i odtąd prowadził dalej życie zagadkowe, którego tajemnicę posiadała może tylko wróżbiarka Brehaigne.

— A! to wy? — szepnął.

— Tak, to ja — rzekł Fanfreluche. — Poznajesz mnie?

— Poznaję.

— Któż to strzelał do ciebie?

— Jeden z moich braci.

— Domyślałem się — rzekł starzec.

Chociaż księżyc świecił ciągle, Fanfreluche nie widział nic co się działo w wąwozie.

Konie leżały teraz jeden obok drugiego i nie ruszały się już, zdając się kończyć.

Zresztą Fanfreluche nic nie słyszał, nic nie widział i tylko przypadek sprowadził go na to miejsce katastrofy.

Spostrzegł coś czarnego na drodze, zbliżył się i poznał człowieka leżącego we krwi, a w tym człowieku Michała Balthazar.

Wtedy, ponieważ serce biło mu jeszcze, pospieszył z pomocą i zaczął kropić twarz wodą, którą miał przy sobie w flaszce skórzanej.

Michał próbował się podnieść, ale był tak osłabiony, że upadł natychmiast.

— O! zdrajcy! — zawołał — pewnie zabrali brylanty!

— Brylanty?! — powtórzył Fanfreluche.

— Chcieli mię zabić, aby nie podzielić się ze mną — mruknął Michał głosem ponurym.

— Ale o jakich brylantach mówisz?

— O brylantach pani z Rochepinte... powóz wpadł do wąwozu... furman tej pani, konie.. wszystko zabite...

Fanfreluche zbliżył się nad brzeg drogi i okiem bystrym spojrzał w ciemne głębie przepaści. I widział kształty jakieś czarne i nieruchome, rozrzucone tu i owdzie, pomiędzy wulkanicznemi skałami doliny.

Zdawało mu się, że coś poruszało się jeszcze.

Michałowi udało się przywlec aż do niego.

— Nędznicy! — powtarzał — a jednakże to ja pierwszy miałem tę myśl....

— Jaką myśl? — zapytał starzec i drgnął spojrzawszy na Michała.

— Dobrą myśl, słuchajcie ojcze! — szeptał Michał, który widział w starcu tylko umkłego galernika, a zatem człowieka, któremu można wszystko powiedzieć. — Dwakroć sto tysięcy franków za pomocą sznura!

Podczas gdy starzec patrzył się w niemem osłupieniu na ten obraz straszny, który miał przed oczyma, Michał mówił dalej z cynizmem, który gorączka i obłęd czyniły jeszcze bardziej oburzającym:

— Przyczepiłem sznur ten na dole na skręcie....

Strzeliłem do koni... Gdy dojechały do sznura, rzuciły się w bok i wszyscy wpadli w wąwóz... Wszyscy zginęli, jestem pewny... A ci nędznicy wszystko zabrali bezemnie!...

Mówił głosem dzikim, zmienionym, a oczy pałały mu gorączkowym szałem.

— O! dajcie mi pić... mam pragnienie — szeptał.

— Nie mam już wody — odpowiedział Fanfreluche i przechylił flaszkę próżną.

— Na dole... w wąwozie... strumyk... — szeptał Michał, który próbował się podnieść.

— Chodź więc — rzekł pustelnik i wziąwszy Michała na plecy, poszedł krokiem pewnym pomimo ciężaru i zeszedł ścieżką w przepaść, po której niedawno schodzili tamci dwaj Balthazary. Ale gdy był już na dole, zostawił Michała przy strumyku, który płynął pomiędzy kamyczkami, a uczucie ludzkości popchnęło go do ofiar.

Tak jak Szymon i Jan poznał, że John i Franciszek zabili się na miejscu. Corinna była omdlała ale oddychała jeszcze. Starzec nachylił się nad nią i nożem rozciął jej stanik.

Nieszczęśliwa, której ciało było jedną wielką raną, przeciągle westchnęła.

Fanfreluche począł obcierać końcem swego habitu krew, którą jej twarz zbroczona była.

Corinna miała czaszkę pękniętą i nogę złamaną. Otworzyła jednak oczy i jęknęła:

— Janie nie zabijaj mnie!

Fanfreluche pobiegł do strumyka, napełnił flaszkę wodą i powrócił do Corinny.

Nieszczęśliwą paliło straszne pragnienie i piła długo.

Potem uczucie boleści powróciło i zaczęła krzyczeć znowu.

Michał, który pił także wiele, odzyskał trochę siły, a usłyszawszy krzyk, przysunął się do pustelnika i nieszczęśliwej grzesznicy.

— A więc ona nie umarła? — zapytał.

Corinna usłyszała ten głos i wpatrzyła się oczami konającemi w Michała. Poznała go zapewne, bo dreszcz wstrząsł nią całą.

W tejże samej chwili usta jej otwarły się znowu i jakby w tej ostatniej godzinie umysł jej rozjaśnił się, spojrzała na starca i rzekła:

— Człowiek ten jest tylko wykonawcą woli innego... umieram zamordowana przez Leona de Villenave...

— To prawda! — szepnął Michał.

Oczy Corinny zdawały się rozszerzać. Wlepione były w bandytę, jakby chciały wysunąć się ze źrenic.

Patrzyła na niego długo nieporuszona i niema, nie krzycząc już, nie mówiąc nic. Potem te oczy pałające traciły powoli blask, a nareszcie zgasły zupełnie i nagle ta głowa, która podniosła się przerażona, aby się wpatrzyć w swego mordercę, upadła bezwładna na jego ramię.

Corinna nie żyła. Ale przed śmiercią powiedziała Fanfreluche'owi imię swego mordercy.

— Spij spokojnie kobieto — szepnął wtedy starzec — będziesz pomszczoną!

Potem podnosząc się i prostując nagle swe członki zgarbione, wziął Michała za rękę, mówiąc:

— Ciebie zaś robię moim więźniem. Czas już, abyś zginął na rusztowaniu nędzniku!

I wziąwszy go na plecy, uniósł z sobą.

. . . .

Ze świtem furmani z brykami przejeżdżający drogą spostrzegli kałużę krwi. Spojrzeli w przepaść i zobaczyli przerażeni powóz zdruzgotany, konie nieżywe i trzy trupy.

Lecieli pędem aż do Courson, gdzie rozgłosili o strasznej katastrofie.

Żandarmi i wiele ludzi udało się zaraz do wąwozu „Człowieka zmarłego.“ Znaleziono trupy, ale nikt nie mógł sobie wytłumaczyć kałuży krwi na drodze. Fanfreluche i Michał zniknęli.

XXVI.

Po odjeździe Corinny pan de Villenave i markiz siedzieli jeszcze długo w noc paląc cygara i rozmawiając o rozmaitych rzeczach.

— Mój drogi — mówił Villenave — życia paryzkiego nie zrozumią nigdy na prowincji, a nawet nie raz w samym Paryżu.

— To zależy od tego dokąd liczysz Paryż. Dla mnie Paryż ogranicza się na północy od ulicy św. Łazarza, na południu od placu Bursy, od wschodu od bulwaru Rybiego, a od zachodu od ulicy Tronchet. W tej wązkiej przestrzeni rozumieją wszystko, po za temi ulicami nie rozumieją nic. Powiedzże jakiemu poczciwcowi, mieszkającemu na ulicy Saint-Denis, że dwóch mężczyzn kocha się w tej samej kobiecie i że zamiast się strzelać, ściskają się za ręce tem serdeczniej jeszcze, że jest jakiś węzeł, łączący ich razem, a nie uwierzą ci.

— Jeżeli nie mogą tego rozumieć na ulicy Saint-Denis, nic dziwnego, że nie pojmą tego w Auxerre ani w okolicy.

— A jednakże jest tak — rzekł markiz — i nasz związek jest tego dowodem. Pewnego wieczora ta ekscentryczna Corinna powiedziała mi: „Trzeba abyś pomógł temu Villenave, ponieważ tak jak ty, Villenave był moim kochankiem.“ Skłoniłem się Corinnie i pan de Villenave został moim przyjacielem. Zresztą prawdę powiedziawszy, Corinna jest mi zupełnie obojętną, ale czyż nie zdarza się nieraz, że dwaj turyści, spotkawszy się w Szwajcarji, dowiadują się nagle, że przed dziesięciu laty zamieszkiwali jeden i ten sam domek? Jest to jakiś łącznik, powód do rozmowy. Zapomniano już o domku, a raczej opuszczono go z tem większem zadowoleniem, że wszystkie kominy dymiły. Nic to jednak nie szkodzi, rozmawiają o nim chętnie.

— Jestem twego zdania markizie.

— Między nami powiedziawszy — zaśmiał się markiz — Corinna podobna teraz do takiego domku.

— Jak uważam bawisz się w dowcipnisia — odrzekł z uśmiechem p. de Villenave.

— W jakim też wieku ona może być teraz? Podobno ma 36 lat?

— Trzydzieści osiem, mój kochany.

— Ujmuje sobie tylko dziesięć lat. To prawie szczerość. Ale — dodał markiz — odjechała, szczęśliwej podróży! Nie mówmy już o niej, mówmy teraz o tobie.

Pan de Villenave sparł się na stole i czekał aby markiz wytłumaczył się jaśniej.

— Czy wiesz, że od dwóch tygodni stałeś się prawdziwym bohaterem romansu?...

P. de Villenave przybrał minę skromną.

— Zabiłeś bandytę, ocaliłeś kobietę, wskrzesiłeś pamięć rycerzy średniowiecznych.

— Ot zrobiłem co mogłem — odrzekł pan de Villenave śmiejąc się.

— Jakto i nie ożenisz się z baronową de Planche-Mibray?

Leon Villlenave westchnął.

— Ależ nie! — rzekł — nie ożenię się z nią.

— Et!
— Nie zapomniała ona jeszcze Maugeville'a.
— Umarły nie jest niebezpiecznym rywalem.
— A potem — dodał Leon — zapominasz kochany markizie, że jesteśmy na prowincji.
— O! o tem pamiętam doskonale.
— I że wszędzie naokoło, w każdym dworku szlacheckim, myślą o miljonach mojej ciotki.
— I o jej piękności mój kochany.
— Dziękuję ci za nią. Jednakże wiem to dobrze, że cała okolica litując się nad losem nieszczęśliwego Maugeville'a, zadowoloną jest z jego tragicznego końca.
— Nie przeczę.
— I gdybym wystąpił otwarcie jako starający się o jej rękę, starano by się wszelkiemi siłami, aby mię usunąć.
— Co mówisz!
— Bo największą moją zbrodnią i to zbrodnią nie do darowania na prowincji jest to, że nadszarpałem mój majątek. Potem, że wój mój nie lubiał mnie. A dla czego? nie wiedział dobrze sam; ale mniejsza o to, wyciągną zawsze coś niekorzystnego dla mnie z tej antypatji.

— Mój kochany — rzekł zimno markiz — nie mieszkam na prowincji, tylko na wsi i żyję jak magnat. Nie cierpię tych szlachciurów, którzy sami sprzedają swe zboże, handlują psami i końmi, wiecznie im brak pieniędzy, skąpi do brudoty, trudnią się lichewką, wynajmują polowania i żywią czeladź łojem pod pretekstem, że to taniej kosztuje jak mięso końskie. Pojmujesz więc, że mając taki wstręt do nich, nie byłoby mi miło, co do mnie, widzieć twą piękną ciotkę u boku takiego szlachciury, który do powozu eleganckiego zaprzęga konie od wozu.
— Niestety! — szepnął pan de Villenave — a jednakże tak być może.
— Et!
— Wiesz jaki jest zamiar baronowej?
— Wstąpić do klasztoru, mówiłeś mi o tem.
— Tak, a mnie zostawić majątek.
— Którego nie przyjmiesz.
— Naturalnie, chcę wszystko albo nic. A więc wiesz co z tego wyniknie?
— Cóż takiego?

— Moja piękna ciotka zabawi dwa lub trzy lata w klasztorze, bo dopiero przy końcu trzeciego roku odbierają śluby. Jest już pocieszona, wyleczona i nudzi się. Przez te dwa lata procenta z kapitału narosły, Planche-Mibray stoi zawsze na tem samem miejscu, Villenave pojechał do Ameryki lub Indji. Pani de Planche-Mibray spojrzy naokoło siebie, nie płacze już za Maugeville'm, nie ma prawa opłakiwać Villenave'a. Cóż robi aby się rozerwać? Jakiś kasztelanic z wąsikiem wymuskanym, zgłasza się z miną rycerską, który przetracił ostatnie dziedzictwo wuja. Będzie niby podobny do Maugeville'a, baronowa jest sama, zamek kasztelanica niedaleko od zamku de Planche-Mibray. Wszystko to bardzo powabne dla kobiety, która się nudzi... I pojmujesz markizie zakończenie?
— Robi ono zaszczyt twojej wyobraźni — odrzekł markiz — ale tak nigdy nie będzie.
— Kto wie?
— Nie, bo ja sobie tego nie życzę.
— A! — zaśmiał się Villenave.
— Wiesz, że cała szlachta okrzyczała mnie człowiekiem ekscentrycznym, niechże teraz znosi moją władzę.
— Tak jest w istocie mój kochany! Od Auxerre aż do Nevers, wszędzie naokoło w całej okolicy wszedłeś w przysłowie.
— A właściwie mój sławny powóz, nieprawdaż?
— Tak. Ale cóż możesz zrobić?
— Ogłoszę, że pani de Planche-Mibray nie może nikogo poślubić oprócz ciebie.
— Czy to będzie wystarczające?
— Pojadę sam i obaczę się z baronową.
— Dobrze!
— A gdy się wmięszam do czego!..,
— Ależ markizie — zaśmiał się Villenave — wszystkie środki są dobre dla tych, którzy chcą komuś szkodzić. Założę się, że już powiedziano mojej ciotce jaką historyjkę o Corinnie.
— No, jeżeli tylko to — odrzekł markiz — obaczysz... za trzy dni dziennik l'Yonne ogłosi, że miła kobieta, pani Corinna Destremont, zawróciła głowę mazkizowi B... i że smutek, jakiego doznała z powodu gwałtownego zerwania, popchnął ją do samobójstwa.

— Jesteś nieocenionym przyjacielem! — zawołał p. de Villenave i spojrzał wzrokiem niespokojnym na zegar, który wskazywał trzecią godzinę rano.
— Patrz! — rzekł markiz — już trzecia godzina.
— Tak w istocie.
— Corinna musi już być niedaleko Auxerre.
— Pewnie — odpowiedział p. de Villenave, a serce zabiło mu, gdy pomyślał sobie:
— Kto wie? może teraz już wszystko skończone! Myślał on o Michale, a właściwie o swoim wekslu.
— Czy polujemy jutro? — zapytał markiz.
— Jak zechcesz?
— W takim razie dobranoc, spij spokojnie. Wydam rozkaz, aby wszystko było w pogotowiu na jutro. Obudzą cię o dziewiątej.
I obaj rozeszli się uścisnąwszy jeden drugiego za rękę. Pan de Villenave poszedł do pokoju, który rano jeszcze zamieszkiwała Corinna.
Ludzie, którzy dla świata potrafili sobie wyrobić twarz stosowną do okoliczności, a żyją w wiecznem kłamstwie, skoro tylko znajdą się sami, stają się sobą samymi z przerażającą prawdą.
P. de Villenave zamknąwszy się sam w swoim pokoju, uczuł jak wszystkie nerwy w nim drgają, maska obłudy, którą zawsze okrywał twarz swoją, znikła natychmiast i uczuł całą niespokojność i obawy zbrodniarza, który nie jest jeszcze pewnym zakończenia zbrodni, nad którą rozmyślał od dawna i długo przygotowywał.
Pewnym był, że słowa jego powiedziane rano Michałowi, nie były daremne i że zbrodniarz odważy się pewnie na jakiś krok śmiały, ale czy mu się uda?
To było najgłówniejszem w jego myślach. Wkrótce położył się do łóżka i zagasił świecę, ale nie mógł zasnąć. Zdawało mu się, że widzi Michała wchodzącego do niego i że tenże niesie mu weksel splamiony krwią Corinny. To znów przeciwnie, widział bandytę w więzieniu, badanego przez sędziego uporczywie i wyznającego, że jeżeli popełnił zbrodnię, było to z namowy pana de Villenave. A ponieważ szkatułka była pomiędzy dowodami oskarżającemi, a w szkatułce tej znaleziono weksel podpisany przez niego, wspólność jego moralna stawała się widoczną.
I podły kuzyn baronowej de Planche-Mibray, owinięty kołdrami, czuł jak włosy powstają mu na głowie i brak mu oddechu, a dreszcz wstrząsał nim całym.
Człowiek ten, który przed chwilą był spokojny i uśmiechnięty, przestraszył by tych, którzy by go teraz zobaczyli. Twarz miał zmienioną, ręce drgały mu ner-

wowo, a rozdraźnienie jego było tak wielkie, że najlżejszy szmer wydał mu się donośnym.

Słyszał jakieś trzeszczenie mebli i parkietów, zdawało mu się, że ktoś chodzi koło niego, to znów, że czuje oddech na twarzy .. oddech Corinny może...

I Villenave, który nie był wcale zabobonnym, wierzył tej nocy w powrót umarłych!

Aż dopóki promienie jutrzenki nie błysły, zdawało mu się, że widzi Corinnę bladą i zakrwawioną, ubraną w bieli, siedzącą koło jego łóżka i patrzącą na niego z wyrazem ponurej ironji. Była nawet chwila, w której to złudzenie było tak silne, że krzyknął przeraźliwie.

Na szczęście nikt w zamku tego nie słyszał. Wszyscy spali.

Ale pan de Villenave zerwał się z łóżka, otworzył okno i chłodził głowę rozpaloną świeżem rannem powietrzem. Okno to wychodziło do parku.

Nie był to dzień jeszcze, ale nie była już i noc. Niebo na wschodzie szarzało i gwiazdy pobladły. Cisza głęboka panowała do koła.

Jednakże panu de Villenave zdawało się, że słyszy daleki turkot powozu, trzask bicza i odgłos dzwonków.

— Czyżby to powóz margrabiego powracał?

Po świcie rannym ukazała się blada jutrzenka, potem coraz jaśniejsza. W zamku było cicho zupełnie.

Świeże, ranne powietrze, usunęło gorączkę, która go paliła przez noc całą, a spokojny i zimny rozsądek Leona Villenave zaczął powoli powracać.

— Cokolwiek bądź się stanie — mówił sam do siebie — robiłem co mogłem wczoraj wieczór, aby zatrzymać Corinnę do rana, ażeby mnie nie posądzono, żem się przyczynił czemkolwiek do wypadku, jeżeli jaki wypadek się zdarzy.

I tak o ile widział wszystko czarno w nocy, teraz przy wschodzie słońca wszystko przedstawiało mu się w barwach różowych, szczególnie jak usłyszał dwóch masztalerzy, rozmawiających pod jego oknami i czyszczących konie.

— Oto — mówił jeden — już szósta godzina, a powóz nie powraca.

— To nic dziwnego — odezwał się drugi. — Spóźnił się trochę i przyjedzie nie długo.

— Zawsze jednak — rzekł pierwszy — nie będę spokojny, dopokąd tu nie będzie.

— A to dlaczego?

— John był pijany wczoraj wieczór.

— Cóż z tego?

— Konie są bystre...

— John jest silny człowiek.

— Ale zjazd wąwozem jest djabelnie przykry.

— Ty się zawsze boisz — odrzekł drugi masztalerz.

— O! — rzekł pierwszy — nie chodzi mi o powóz ani o Johna, który jest brutalem...

— O kogoż ci więc chodzi? O Franciszka i Jerzego?

— I to nie, najpierw Jerzy nie pojechał tam. Mówił mi, że zostanie w Coulanges.

— Boisz się może o tę panią, która płaci tak hojnie?

— Et! ale gdzie tam. Idzie mi o konie... Od dwóch lat je czyszczę, więc zdaje mi się, jakby do mnie należały.

P. de Villenave zamknął okno po cichu, ale uważał ciągle co się działo na dworze.

Powóz nie powracał.

Teraz p. de Villenave był pewnym, że się coś stało i położył się mówiąc:

— Czekajmy!

W godzinę potem usłyszał wielki hałas i rozmaite głosy donośne pod swemi oknami.

Wstał znowu i zajrzał przez szparę u storów.

Cała służba otoczyła człowieka na koniu, który zdawał się powracać z daleka.

Człowiek ten wysłany był przez mera w Courson, ażeby doniósł w zamku Rochepinte o strasznej katastrofie.

P. de Villenave czuł jak pot wystąpił mu na czoło i słuchał z sercem bijącem.

Posłaniec opowiadał jak konie, powóz, pani jadąca w nim, furman i lokaj, wszyscy wpadli w przepaść. Wszyscy zginęli.

Zbrodni nie podejrzywano. Jednakże krew była na drodze, i krew tę trudno sobie wytłumaczyć. Przypuszczano tylko, że jeden z koni dostał na drodze upływu krwi, że upadł z początku i że podniósł się za silnem uderzeniem bicza, a powóz pogonił z podwójną szybkością, wskutek czego stało się to straszne nieszczęście.

Zresztą znaleziono w wąwozie porozrzucane pakunki Corinny, a w kieszeni Johna i Franciszka ich sakiewki. Ponieważ nic nie skradziono, więc złodzieje nie byli powodem tego wypadku.

— Pięknie — szepnął Villenave sam do siebie, kładąc się napowrót do łóżka — mam szczęście szalone! Oto zakończenie, o którem nawet marzyć nie śmiałem.

W godzinę potem markiz wszedł do jego pokoju. Był on trochę wzruszony.

— Słyszałeś Leonie ważną nowinę?

— Jaką nowinę? — zapytał p. de Villenave, który przybrał znowu twarz zwykłą.

— Corinna...

— Cóż takiego! powróciła?

— Nie, zabiła się!

Twarz pana de Villenave wyrażała w tej chwili takie zdumienie, że niepodobna było domyślić się markizowi, iż wiedział on wszystko przedtem.

— Corinna zabiła się, moje cztery konie zginęły, sławny mój powóz zdruzgotany, ponieważ furman był pijany.

— Ależ markizie, to niemożliwe! — zawołał p. de Villenave.

— Biedna Corinna! — rzekł markiz z uśmiechem melancholijnym — jutro dzienniki paryzkie doniosą, że umarła mając lat dwadzieścia sześć, w samym kwiecie wieku! Niech co chce będzie, żal mi bardzo mojej karety, która we wszystkich budziła zazdrość.

Taka była mowa pogrzebowa o Corinnie Destremont.

A gdy p. de Villenave udawał ciągle człowieka przygnębionego, markiz uderzył go po ramieniu mówiąc:

— No, nie martw się, oto ostatnia przeszkoda w twojem małżeństwie usunięta. Corinna była stanowczo kobietą rozsądną. Umarła w samą porę!

Koniec części drugiej.

Redaktor - Wydawca: W. Maniecki.